MILIONOWY.

Powieść z dzieł Pana Zschokke.

CZĘŚĆ DRUGA.

Kiedy Redern zakończył swe opowiadanie, wszczęły się różne o tém rozprawiania i sprzeczki. Chociaż wszyscy zgadzali się na jedno, że nienawiść Morna ku ludziom i pomimo bogactw oddalenie się od nich, były niejakąś zemstą nad światem, który nie chciał oddać mu słuszności; lub skutkiem bojaźni, jaką nabawiało go moralne zepsucie większey części ludzi; a zatém, że dla tego tylko światem pogardził, iż sam wprzódy od świata był pogardzony; chociaż się i na to prawie wszyscy zgadzali, że Jan Jakób Russo, gdyby nawet stał się milionowym, zawsze byłby takimże samym Janem Jakóbem Russo, jednak co do wielu innych rzeczy mocne zachodziły spory. Mianowicie niektórzy pochwalali ostatni postępek Morna, że porzucił świat i oddał się samemu sobie; inni zaś nazywali to samolubstwem i słabością duszy.

Sprzeczka ta wiele głów zapaliła.

„Któżby z nas inaczey uczynił, będąc na mieyscu Morna!" zawołał jeden młody jego obrońca. „Spóyrzyycie na tłum ludu, od naywyższego do nayniższego stanu, ile w nich jest godnego wzgardy! jak mała liczba dobrze myślących, z którymiby żyć można, którzy drobnych widoków swoich, nie stawią wyżey nad wszystko w świecie. Szczerze mówię, jeszcze ten nie jest mizan-

tropem, kto tak sądzi o ludziach, jak są warci, i ceniąc spokoyność własną, trzyma się w przyzwoitém od nich oddaleniu. Czyliż myślicie, że ktokolwiek (mówię o większey części ludzi) kocha bliźniego, jak siebie samego? czyliż myślicie, że was przenoszą nad innych w miarę waszych cnot, zdolności i zasług? Nie, pieniądze są główną sprężyną społecznego życia, a jeśli nie pieniądze, tedy fałszywe wyobrażenie o wartości człowieka. Przez kobiéty, łaskę możnych, intrygi i duch stronnictwa, nayczęściey otrzymuje się znaczenie. Przez to, w większey części Niemiec rozmnożyła się liczba świetnych półgłówków; a kto ma świetność, temu bije czołem cała reszta chałastry. Pytam, kto poświęci majątek lub życie dla świętey jakiey sprawy? Wszystko prawie zasadza się u ludzi na pozorach i oszukaństwie. Pomiędzy milionami zaledwo stu znaydzie się prawych, niezepsutych, nieprzykrytych pozorami obłudy. Przyznaymy się teraz sami, azali wszyscy tu zebrani, takiemi się wydajemy, jakiemi we własném jesteśmy sumnieniu. Smiejecie się, mości panowie, i macie mię za młodzika nieznającego świata; lecz właśnie dla tego, 'żem młody, lepiey mogę sądzić o ludziach. Jeszcze nie znikła we mnie prostota i szczerość wieku dziecinnego, które ustawnie wzbudzają we mnie niemiłe uczucia, kiedy konieczna wspólność ze światem, poddaje mnie jego przepisom, miesza do jego arlekinady, lub wtrąca w zamęt wszystkich namiętności. Kiedy będę starszym i wieloletni nałog oswoi mię, że tak powiém, z całą tą polityczną, moralną, i estetyczną przewrótnością, wtedy zdanie moje nie będzie już tak rzetelne i bez-

stronne. Nazywają dzieci szczerémi, bo w nich wszystko się sprzeciwia przyjętym nierozsądnym zwyczajom świata. Człowiek światowy nigdy nie jest szczerym, układa się tylko, jak podżyła zalotnica. Młodzieniec zaś niezepsuty, pierwszy raz na świat wstępując, podobnie jak podróżny, do obcego kraju przybyły, przy miernych zdolnościach nawet, więcey w nim rzeczy nadzwyczaynych postrzega, niżeli krajowiec, chociażby wysokim gieniuszem obdarzony."

Tu nowe powstały spory. Rozeszliśmy się wszyscy nie zgadzając się jeden z drugim, a w następnym tygodniu, kiedyśmy się znowu u radcy Rederna zebrali, każdy się ze swojém zdaniem dał słyszeć.

Redern, jak zawsze utrzymywał środek, i widząc, że się zbyt daleko zapędzono, wspomniał o drugiey historyi, którą obiecał nam opowiedzieć. Natychmiast wszyscy umilkli.

Jeszcze Milionowy.

Powracając z Amszterdamu, tak zaczął Redern, dokąd jeździłem, dla przyśpieszenia wypłaty za drzewo towarne, gdyż panowie Hollendrzy czynili w tém rozmaite trudności: byłem w naylepszym humorze: bo mi się wszystko nad spodziewanie udało. Zrobiłem nowe, bardzo korzystne umowy na drzewo, i cieszyłem się nadzieją odebrania pochwały od rządu: gdyż prócz tego spełniłem pomyślnie niektóre osobne poruczenia.

Ale nigdy nié masz radości trwałey. W drodze spotkał mię smutny przypadek. Niedaleko od miasteczka, nazwisko jego kręci się mi na myśli,

a przypomnieć nie mogę. Lecz, mnieysza o to. Był już wieczor, i ja w moim nowym pojeździe zbliżałem się do miasteczka. Po nayniegodziwszey drodze pocztylion pędził konie jak mogły wyskoczyć: bo mi się chciało czémprędzey stanąć na mieyscu, żeby nieco odpocząć: gdyż całą noc poprzedzającą z moim starym Kurcem (sługa radcy) przepędziliśmy na wozie. Wtém, nagle cóś łusnęło, Kurc z kozłow poleciał na łeb, a ja podskoczyłem z siedzenia i tak mocno głową uderzyłem w plecy woźnicę, że ten razem z Kurcem znalazł się na ziemi pomiędzy końmi. Pękła oś przednia i resory. Kurc wywinął rękę z ramienia; pocztylion nos rozbił: ja tylko, prócz strachu nie ucierpiałem nic więcey. Na szczęście, konie były tak zmyślne, że równo z naszym upadkiem zatrzymały się nagle. Po wielu trudach ruszyliśmy do miasteczka. Pocztylion uręczał, że mòy pojazd w kilka dni będzie naprawiony, tylko trzeba, żebym posłał go do Gardu, o milę w bok z drogi: bo tam mieszka kowal naydoskonalszy.

Kiedyśmy stanęli w zajezdnym domu, albo lepiey mówiąc, kiedy nas wprowadzono do jakieyś ciemney i błotnistey izby, zaraz chciałem sprowadzić stelmacha i kowala; lecz gospodarz radził mi także odesłać pojazd do Gardu: bo tam mieszka stelmach, jakiego w naywiększém mieście nie łacno znaleźć.

Kurc miał piękne przenosiny. Myśleliśmy zpoczątku, że jego ręka złamana, ale postrzegliśmy poźniey, że tylko była wywichnięta. Lekarz mieyscowy, człowiek stary, ubolewał, że jego tawarzysz chirurg umarł na przeszłym tygodniu,

a sam, jak powiadał, nigdy podobnych operacyy nie robił. „Naylepiey byłoby, rzecze, żebyś pan odesłał swojego sługę do Gardu, bo tam mieszka chirurg wyborny.”

„Co to za Gard?” zapytałem u lekarza.

— „Wioseczka, ztąd blizko mili”

„Dla czegoż u was naylepsi rzemieślnicy i chirurgowie mieszkają na wsi, nie zaś w miasteczku?„

— „Bo wóyt tameczny, wielki koncepcista i waryat razem, zebrał wszystkich rzemieślników i prawie miasteczko ze wsi chce zrobić. Prawdę mówiąc, pieniędzy wystarczyłoby mu na to; tylko to bieda, że skępiec niesłychany. Zresztą przy milionach ma piękne przymioty. Ja go znam dobrze, ale się z nim nie wdaję. Jest to waryat.”

„Może też w Gardzie jest i dom zajezdny?”

— „Jakże nie! — lepszy od tuteyszego. Znayduje się tam jakieś źrzódło mineralne, przy którém wóyt urządził kąpiele, i teraz tłum ludu zjeżdża się do nich. Ale, mimo to wszystko, wóyt zginie nakoniec, bo przyjął lekarza wielkiego nieuka, oszusta, szarlatana, który od rana do wieczora sam nie wié, co plecie.”

O tym lekarzu wiele on mi nagadał. Tym czasem słysząc, że w Gardzie, chirurg lepszy i stelmach doskonalszy, i dom zajezdny wygodnieyszy, postanowiłem razem z moim Kurcem i pojazdem opuścić miasteczko.

Nazajutrz więc drągami i powrozami, jakkolwiek wzmocniono pojazd, położono w nim Kurca, który całą noc kawęczył okropnie, i tak pociągnęliśmy się do Gardu.

Ja rozpytałem się drogi, a że dzień był bardzo piękny, szedłem piechotą.

Wioseczka Gard.

Uszedłszy zpół mili od miasteczka, postrzegłem, że droga nagle zrobiła się daleko lepszą. Po obu stronach były zasadzone drzewa owocowe. Zastanawiała mię żyżność roli. Naokoło widziałem piękne zboża prawie bez kąkolu. Trawa na łąkach zdawała się zieleńszą i buynieyszą, niż gdzie indziey. Przede mną leżała wioseczka: domki nie cisnęły się jeden na drugi, lecz w pewney odległości, pomiędzy cienistemi drzewami, stały jak w ogrodzie. Pośrzód nich na wzgórku wznosił się kościołek. Nigdzie w tamtych stronach nie widziałem takiey żyżności, takiego uporządkowania budowli, a nawet domów, tak budowanych.

„Wy tu mieszkacie, jak w raju, móy kochany" rzekłem do starego wieśniaka, idącego nie daleko ode mnie. „Wasza rola żyżnieyszą, niż w całey okolicy.

— „Dzięki Bogu, nie możemy uskarżać się na to" odpowiedział chłopek.

„Dla czegoż to u was tylko domy nie stoją obok siebie, jak po innych wioskach?"

— „Toż to i źle! Przed piętnastu laty był tu pożar, i późniey musieliśmy zabudować się, jak jest teraz: bo nam tak kazano. A jak to nie dobrze; teraz ja do kościoła co niedzieli muszę wlec się prawie ćwierć mili. Żartyż to dla starego, albo dla dziecka, mianowicie w zimie. Innym nawet daley jeszcze. Ale pożar natenczas był okropny:

wszystko spaliło się do szczętu, oprócz kilku domów, stojących na ustroniu.''

,, Od czegoż się zapaliło?

— ,, Bóg wié! rozmaicie mówią. Niektórzy jeszcze i teraz dowodzą, jakoby sam wóyt podpalił, żeby nas zgubić. Jednak może to nieprawda''

,, Dla czegożby wóyt?

— ,, Dla czego? Czy mało on nam figlów wyrabia! Wszakże wiadomo, że się upędza za zyskiem i ma twarde serce. Dał się on mi dobrze we znaki. Wprzódy był u nas nauczycielem szkołki, a poźniey woytowstwo wyjednał sobie u rządu. Oy to szczwany lis! Nie wiém czy jest gdzie drugi taki''

,, Powiadają, że się ma dobrze''

— ,, Jakże nie! bogacz niezmierny, . ale grosza żałuje dla siebie, i żyje gorzey od naylichszego kątnika. Czasami jednak, jak pora przyydzie na niego, garściami rozrzuca pieniądze. Ten szał jego gubi. Chociaż i to na naszą biedę: bo jedyną mu roskosz, męczyć nas za swoje pieniądze''

Tak rozmawiałem czas niejaki ze staruszkiem. Wkrótce on zwrócił się na bok z drogi i poszedł ścieżką przez łąkę.

Tymczasem słońce zaczęło mocniey dopiekać. Usiadłem pod orzechowém drzewém, żeby odpocząć i nacieszyć się pięknym widokiem, godnym opisania w sielance. Myśliłem sobie nakładając lulkę: ,, Jakżeby ci ludzie mogli bydź szczęśliwi w tym ziemskim raju! Lecz i tu zły duch wmięszał się do nich. Narzucono im takiego człowieka, który, sądząc się wyższym nad tych dobrych prostaków, zatruł ich szczęście.''

W tém zbliżyła się przechodząca mimo staruszka: zacząłem z nią rozmowę, byleby tylko pogawędzić.

„Powiedz mi, moja matko, gdzie dom zajezdny w waszey wiosce.”

— „Oto póydź, panie, prosto tą drożką, nie daleko od kościołka na lewo. Ja sama jestem gospodynią.”

„Bardzo się z tego cieszę. Powiedźże mi: czy mogę tu ze służącym przemieszkać dni kilka, nim mojego pojazdu nie naprawią?

— „O nie, móy dom nie dla panów, ale niech pan idzie do górnego traktyeru, tam nawet przed półgodziną poprowadzono pojazd złamany, zapewna pański.”

„Żałuję więc, że mi przyydzie mieszkać nie u wacpani. A gdzież ten górny traktyer?”

— „Ot tam na wzgórku, czy widzisz pan niewielki biały domek z zielonemi okienicami: to woytowy, a obok niego i dom zajezdny dla gości.”

„Zapewna także należący do woyta?”

— „Tak, nie — jak chcąc: wszystko jego i nie jego. Tylko na jego rozkaz zbudowano.

„A wam czy to żadney korzyści nie przynosi?”

— „Nie tylko nam, i nikomu nawet. Odtąd, jak ten woyt nastał w naszey wiosce, moje gospodarstwo nie czyni i połowy tego dochodu, co dawniey. Niech mu Bóg nie pamięta; ale odpowié on za to na tamtym świecie. O! gdyby słuchać wszystkich dziwactw jego, to kto wie coby jeszcze było; ale nie jemu to potrafić ze mną. Dzęki Bogu, mám kawał swojego chleba, i u niego prosić nie będę”

Tymczasem w poblizkim domku, dał się słyszeć swar głośny. Staruszka nastawiła ucho w tę stronę, kiwnęła razy kilka głową i uśmiéchając się złośliwie rzekła półgłosem: „Ehe! — Dostało się naszey Małgorzacie.” Potém obróciwszy się do mnie, pokazała, kędy bliżey można przeyść do górnego traktyeru, i sama odeszła.

Z domu, gdzie hałas słyszałem, wyszedł wieśniak, około czterdziestu lat mający, odziany porządnie, i jak się zdawało, mocno rozgniewany. Za nim pokazała się we łzach stara kobiéta i młody chłopak. Oboje kłaniali się rozgniewanemu. „Prawdę mówiłeś panie woycie” rzekł chłopak ze szczerą prostotą, podając mu rękę na pożegnanie: „Ja nie raz toż samo powtarzałem matce.”

— „No, no!” odpowiedział wóyt z miną poważną — „Ten raz niechay i tak będzie, przebaczę. Staruszka przyrzekła, że już więcey nie zasłuży na gniew jego. Groźny rządca wioski zawrócił się i odszedł.

Szedł on tąż samą ścieżką, która mi była pokazana do traktyeru. Wstałem więc zaraz i udałem się za nim, chcąc osobiście poznać tego człowieka, tego milionowego, o którym przez jedną porę tyle się nasłuchałem. Inaczey, cóżbym miał robić we wsi. Jednak pomyśliwszy sobie, że on jest celem użaleń dla swoich podwładnych, że sam byłem świadkiem jego grubijaństwa i dumy; straciłem ochotę zabrania z nim znajomości. Przytem szedł bardzo prędko, a ja dopędzać go nie miałem ochoty.

Wóyt.

Tymczasem wóyt, spotkawszy kilku wieśniaków, zatrzymał się i wdał się w rozmowę. Zbliżałem się do niego właśnie, kiedy rozstawał się z nimi. Powitaliśmy jeden drugiego. On przez grzeczność ustąpił z wązkiey ścieżki i pozwolił mi iśdź przodem. Zacząłem mówić zpoczątku o pogodzie, potem o żyżności roli. Odpowiadał skromnie, ale z taką dokładnością i tak dobranemi wyrazami, że niepodobna było, nie postrzedz w nim od razu pewnego stopnia ukształcenia. Co do roli utrzymywał, że jest zupełnie taka, jak w całym kraju, tylko u nich lepiey wyrobiona, niżeli w innych mieyscach. A kiedym okazał moje podziwienie. „Każdy gospodarz“ odpowiedział wóyt, „mieszka tu prawie pośrodku swojego wydziału; a zatém lepiey może czuwać nad jego uprawą. „Ale wasze łąki, dodałem, jakie piękne łąki!“

„Może pan nie uważał“ rzecze wóyt „że te wszystkie leżą prawie w jedném mieyscu, i są polewane. Mamy przytém dobry w blizkości margiel. W innych okolicach także mniey lub więcey znalazłoby się to wszystko; ale tam lud jest ciemny i leniwy. Przyrodzenie wszędzie jest dobrą matką; tylko człowiek, idąc za swojém uprzedzeniem, nie zawsze chce głos tey matki zrozumieć.“

Takiey uwagi wcalem się nie spodziewał od wioskowego bakałarza lub woyta. Stanąłem i patrzyłem na tego filozofa w szarém z grubego sukna odzieniu i w wielkim słomianym kapeluszu. Twarz jego, od słońca zagorzała, w istocie miała cóś

niepospolitego, prawie jakąś szlachetność i zacność.

Wóyt także z minutę patrzał na mnie jak nayprzenikliwszym wzrokiem, i rzekł nakoniec: „Czy nie z Panem Redernem mam honor rozmawiać, albo . . . . . ”

— „Tak, jestem Redern” odpowiedziałem, i zdjęty podziwieniem, zacząłem pilniey wpatrywać się w niego.

On śmiejąc się podał mi rękę i rzekł: „Więc ty jesteś ten miły, ucieszny chłopczyna, niegdyś ułuda wszystkich piękności . . . ”

Chciałem wyrwać moję rękę z jego dłoni, myśląc, że go opanował szał, o którym tak wiele słyszałem. Ale on trzymał ją mocno, i daley mówił: „Jakże ty zrobiłeś się pleczystym, tłustym, wielkim panem! Jaki dobry duch przywiódł ciebie do Gardu, w bok ze złotey średniey drogi, która ci tak dobrze sprzyjała?“ Potém objąwszy mię za szyję pocałował i zawołał: „Jak się masz bracie, jak się masz! czyliż mnie nie poznajesz?“

Stałem osłupiały. Snuło się mi po głowie, żem go widział kiedyś. Nakoniec nagle rozjaśniało mi w oczach i wszelka wątpliwość znikła. „Engelbert?“ krzyknąłem.

„Tak jest w rzeczy samey“ zawołał. Dźwięk jego głosu obudził we mnie żywe wspomnienie całey wiosny dni moich. Z lubém uczuciem przycisnąłem go do serca i zapomniałem o wszystkiém, co mi o nim złego od wczorayszego wieczora nabębniono w uszy.

Wóyt zawołał z pola małego chłopca i rzekł: „Zbiegay do mojey żony: powiedz jey, że zna-

lazłem brata. Niechay zaraz wyniesie pod lipę wódki, świeżego masła i chleba: tam będziemy jedli śniadanie.“

Ja natychmiast musiałem mu opowiedzieć historyą mojego życia, od czasu wyyścia z uniwersytetu; również powód mojey podróży i zboczenia do Gardu. Potém wszczęła się rozmowa o losie wielu naszych towarzyszy. Opowiedziałem mu także, co się z Mornem stało.

„A ty?” rzekłem.

— „A ja?” śmiejąc się odpowiedział Engelbert. „Spóyrzyy na mnie, panie radco — widzisz, kto ja: jestem chłop, a do tego wóyt tuteyszey wioski.

„Ależ powiedz mi dziwaku” zawołałem; „jak ty przy swoich świetnych przymiotach zabiłeś się w ten zapadły, nikomu niewiadomy kąt ziemi? Azaliż to dobrowolnie?”

— „Dobrowolnie, nie inaczey.”

„Jakże dawno tu mieszkasz?”

— „Dziewiętnaście lat, i bardzo szczęśliwie.”

„No, opowiedźże mi wszystko.

— „Drugim razem. Teraz żona moja czeka nas pod lipą. Tam zobaczysz całą rodzinę moję. Choć, póydziem na śniadanie.”

Wstąpiliśmy na wzgórek. O kilka kroków daley ścieżka prowadziła w stronę, i przyszliśmy pod lipę. Pod cieniem rozłożystego drzewa, siedziała kobiéta, mająca lat około trzydziestu, kształtney kibici, przyjemney twarzy, ubrana po wieysku. Na ręku usypiało półroczne niemówlę, u nóg jey bawiło się dwóletnie dziecię, a żwawy wesoły chłopczyk od lat czterech, z czerwoną twarzyczką i białemi włoskami, przynosił

mu kwiatki. Dway starsi synowie, jeden lat siedmiu, drugi dziesięciu, z książkami w ręku, stali za matką, i z niemałą ciekawością zwracali na mnie swe błękitne oczy. Odziani byli po prostu, ale bardzo czysto, podobnież jak oyciec, z tą tylko różnicą, że chodzili boso.

Wóyt, przyprowadziwszy mnie do swojey żony, powiedział kto jestem. Ona ukłoniła się grzecznie, i lekki rumieniec ukazał się na jey twarzy. Tymczasem wóyt sam z wielką powagą ukląkł przed nią, pocałował ją w rękę, prosił przebaczenia za spóźnione przybycie na śniadanie, i całą winę składał na mnie.

Bardzo prędko zabrałem znajomość i przyjaźń z tą miłą rodziną. Wszyscy zasiedli na murawie około wielkiego garnka z mlekiem. Każdemu ukrojono po skibce razowego chleba, i wszyscy zaczęli jeść cynowemi łyżkami. Mnie zaś podano chleb sitny i świeże przewyborne masło, a przytém butelkę starego burgońskiego wina i wody.

— ,, Ja pamiętam, że ty nigdy nie lubiłeś mleczywa" rzekł Engelbert.

Wszystko mi zdawało się snem, albo czarodzieyskiém widzeniem: i obraz tey malowniczey gromady, i niespodziane spotkanie się z Engelbertem, i to, żem znalazł jego wieśniakiem, oddalonym od ukształconego świata, kiedy w uniwersytecie uważano go za naylepszą głowę i naycelnieyszego studenta. A chociaż i wtenczas okazywał czasem dziwactwa, wszyscy patrzali na nie, jak na zwyczayne marzenia młodości. Czy mógł się kto spodziewać, żeby ten chłopiec, któremu nayświetnieyszy zawód wróżono, skończył na urzędzie wóyta nad chłopami!.

Jego Augustyna — tak on żonę nazywał — i wszystkie dzieci jego, niezmiernie ku niemu były przywiązane. Mógłże więc ten człowiek, umiejący kochać i nawzajem kochany, bydź tak złym, srogim i złośliwym, jak mnie o nim mówiono? Jego bogactwa — gdyż w mieście nazywano go milionowym; wzbudzały wprawdzie nieco podeyrzenia; wiedziałem bowiem, że po rodzicach nic nie miał. Ale z drugiey strony, odzienie tak grube, pokarm tak prosty — chyba był skąpym nadzwyczaynie. Wahając się w tych myślach postanowiłem pilnie przypatrzyć się jemu.

Weszliśmy na wierzchołek wzgórka, zajęci nayżywszą i nayweselszą rozmową.

„Nie mogę przyjąć ciebie pod moją słomianą strzechę" rzekł Engelbert: bo tam nie ma mieysca; ale tu blizko w traktyerze, będzie ci bardzo wygodnie. Sporządziłem te mieszkania dla przyjezdnych, chcących brać wody u naszego źródła. Możesz wybrać pokóy, który się podoba. Jeszcze czas kąpieli nie przyszedł i goście chyba na początku przyszłego miesiąca, zjeżdżać się zaczną."

Gospodarstwo.

Pojazd móy był już oddany do stelmacha, Kurc do chirurga. Pierwszy z nich w dni dziesięć obiecał wyśpieszyć naprawkę. Dosyć było jednego słowa wszechwładnego wóyta, żeby rzemieślnik porzucił wszystkie inne roboty, a zajął się moim pojazdem. Chirurg naciągnął rękę Kurcowi, ale podjęła się wielka puchlina i kazano mu cały tydzień przeleżeć spokoynie. Ta mimowolna przerwa podróży, trafiła mi się jak w porę: bo

w istocie dla Engelberta i jego lubey rodziny, warto było umyślnie sto mil jechać.

Wszystko, co postrzegałem u mojego dziwaka, zaymowało mnie tém mocniey, że przekonywałem się ciągle, jak mało jest śmiertelnych, równie jak on szczęśliwych. Dóm jego niczém się nie różnił od sąsiednich chat wieśniaczych, tylko stał pośród ogrodu i kwiatników. Wewnątrz wszystko przy naywiększey czystości okazywało prostotę i nawet ubóztwo. W główney izbie, gdzie się cała rodzina zgromadzała, nie było niczego oprócz dwóch stołów z ławami, drewnianego zegara i małego zwierciadełka na ścianie. Sam Engelbert, jego żona i dzieci sypiali w małych komorkach, na materacach wypchanych liśćmi, lub mchem suszonym. Bielizna była gruba, ale czysta i rażącey białości. Jadali po części jak kapucyni na talerzach drewnianych, po części na prostey glinianey poliwie. Woda i mleko, oraz podpiwek zwyczaynie za napóy im służyły. Jednego razu gwałtem zaprosiłem się do nich na obiad. Przyjęli mnie śmiejąc się i przepraszając, że nic osobno dla mnie nie przygotowano. Potrawy były smaczne i posilne. Wyborna zupa, pieczenia, razowy chleb, owoce i podpiwek składały całe przyjęcie; ale mi się zdawało, że jak żyję nigdy tak dobrze nie byłem częstowany. Na przeciw mnie siedziała miła matka ze slicznemi dziatkami. Obok mądry Engelbert, jego niewymuszona dworność, ciągłe szczebiotanie dzieci, radość, wewnętrzna szczęśliwość we wszystkich oczach i w głębi mojego serca, wyznać muszę, wszystko to mnie zachwycało, jak gdybym biesiadował z nadzwyczaynymi ludź-

mi. Gniewałem się na Engelberta za jego ciągłe żarty, że móy żołądek zawiódł się w oczekiwaniu.

Wystawnieysze sprzęty znalazłem u Engelberta, jak on nazywał, w pracowni. Stolik pod oknem, niewielka, ale wyborna biblioteka; na ścianach mappy, za przepierzeniem machina elektryczna i pneumatyczna, oraz rozmaite narzędzia, do muzyki i geometryi należące. Pracownia była razem szkołą dla dzieci, które on sam uczył, i gotowalnią Augustyny. Stało tam jey fortepiano, a w próżnych szufladkach szafy z minerałami, gdzie też leżały droższe jey ubiory.

„Wszystko prześlicznie, móy kochany Engelbercie" rzekłem do niego, „ale wkrótce twojey rodzinie będzie tu zaciasno."

— „Tak jest" odpowiedział Engelbert, „świątynia naszego szczęścia niewielka; ale samo szczęście wielkie. Mamy wszystkiego nawet do zbytku."

„Czyliż istotnie jesteś szczęśliwym w tém położeniu?"

— „Spóyrzyy tylko na nich!" zawołał Engelbert wskazując na żonę i dzieci." Jaka żywość i zdrowie! A jaka szlachetna dusza w tych czerstwych, pięknych ciałach! Tu moje państwo, moja rzeczpospolita, moje wszystko! Tu ja kosztuję prawdziwey słodyczy życia, nie takiey, jak wy, w waszych hucznych, etykietalnych miastach, albo w waszych nędznych i nudnych wioskach. Macie podostatek wszystkiego, czego ciało pożąda, a dla umysłu rozległy okrąg działania. Braknie mi tylko błyskotek delikatnieyszego europeyskiego gustu; ale nie mogę powie-

dzieć, żebym zupełnie był oddzielony od lepiey oświeconego świata: spóyrzyy na tych nieśmiertelnych (pokazał xiążki): ze mną jest przyrodzenie, ze mną cała wielkość Boga, ze mną wieczność. I czegoż mi jeszcze potrzeba?"

Uścisnąłem jego rękę i milczałem, z jakąś zgryzotą wewnętrzną nie znaydując godney odpowiedzi. Mógłbym rzec jemu: ty zawsze w marzeniach! ale czułem, że on w istocie był szczęśliwym: czułem także, że my światowi ludzie błądzimy często poświęcając prawdziwe życie dla marnych błyskotek. Mogłem rzec jemu: słusznie czynisz! lecz widziałem, że on zbyt daleko odbiegł od zwyczajow świata, i wyobrażenia jego nie łączyły się już z wyobrażeniami naszego wieku i naszego sposobu życia.

Engelbert był czynnym do zadziwienia; sam uprawiał rolą i łąki na domową potrzebę; a urząd wóyta, jakkolwiek kłopotliwy, zdawał się bydź tylko ubocznem jego zatrudnieniem. Mimo to wszystko codzień po kilka godzin przepędzał samotnie na czytaniu i pisaniu, oraz sam zaymował się uczeniem dzieci swoich. Dway synowie starsi wiele już umieli: drzewa, zioła, krzewy i wszystkie mieyscowe rośliny mianowali technicznemi nazwiskami: bo innych zupełnie im nie mówiono. Rozprawiali o biegu ziemi około słońca; pokazywali na niebie planety i konstellacye; bawili się z pryzmą, elektrycznością, magnesem i drobnowidzem; a wiele zjawisk przyrodzonych sami sobie tłumaczyli dokładnie.

Jak Engelbert pracował nad rolą i dziećmi; tak Augustyna krzątała się około domowego go-

spodarstwa, którego była głową. W tym względzie i mąż jey ulegał; jako nieograniczoney pani. Ona doglądała kuchni, rozrządzała gospodarstwem i sprawiała co było w domu potrzebném; ptastwo, drób, gołębie, krowy i cała obora, konie, owce, kozy; wszystko to do niey zupełnie należało, w jey było rozrządzeniu, pod jey dozorem i na jey staraniu.

„Ale co mianowicie ciebie tu przywiodło?" zapytałem znowu u Engelberta. „Przy takich zdolnościach, mógłbyś bardzo stać się użytecznym dla swojey oyczyzny. Jakim sposobem zostałeś wóytem włościańskim w obcym kraju?

W następną niedzielę raniuchno przyszedł on do mnie i przyrzekł cały dzień przepędzić ze mną. Poszliśmy do ogrodu przy traktyerze, dla gości odwiedzających kąpiele założonego. W altanie, osadzoney winną macicą, mającey piękny widok na odległe okolice, podano mi śniadanie, wyborną kawę: Engelbert zaś kazał przynieść sobie mleka i razowego chleba.

„Teraz tobie opowiém, rzecze, co właściwie tu mię przywiodło; a kiedy Augustyna i dzieci powstają, póydziemy na przechadzkę i do kościoła. Na obiedzie znaydziesz u mnie kilku przyjaciół moich i naszego pastora. Potém młodzież z wioski da koncert dla ciebie, a wieczorem będzie tu uczta. Musisz potańcować z nami, Augustyna pięknie tańczy. No, słuchayże z uwagą.

Potrzeby zbytkowe.

W pół roku po tobie opuściłem uniwersytet, tak zaczął Engelbert. Opiekun móy żądał wprawdzie, żebym jeszcze rok jeden zabawił; ale ja,

wziąwszy w kieszeń moich trzydzieści luidorów, puściłem się na wędrówkę po Niemczech, na Szwaycarskie doliny, z Alp do Paryża, potém do Prowancyi, ztamtąd morzem do Neapolu, nakoniec przez Rzym i Wiedeń do domu. Z tych pieniędzy dwa luidory zostały mi nawet; ponieważ naywięcey podróżowałem piechotą; chleb i woda, a czasem szklanka wina, były moim posiłkiem: w stodołach i stayniach sypiałem bezpłatnie.

Powróciłem właśnie wtenczas, kiedy już chciano mnie wzywać przez gazety. Opiekun gniewał się i dąsał, a ja przekonałem się tymczasem, że zwiedzenie obcych krajów, daleko więcey oświeca, niżeli rok przepędzony na słuchaniu lekcyy. Po wysłuchaniu examinu pochwalono moję umiejętność i przyjęto do kancellaryi ekonomiczney, bez płacy do pewnego czasu, tylko, aby mnie w czynność wprowadzić.

Za rok prosiłem o mieysce justicyaryusza. Odpowiedziano mi, że chociaż jestem zdolny, ale jeszcze zbyt młody, bo miałem tylko dwadzieścia trzy lata. Dobrze, myśliłem sobie, ta przeszkoda codzień się zmnieysza. Za rok potém przyszedłem znowu z prośbą o inne, małego znaczenia mieysce. Na tenczas móy prezydent rzekł do mnie: „Wszakże WPan masz jakikolwiek fundusik, czemu się nie ubierasz przystoyniey? Dla czego zawsze chodzisz w tak grubym suknie? WPan nie możesz nigdzie się pokazać.” Ja mu odpowiedziałem: „Jaśnie Wielmożny Panie! Oyczyzna wymaga po mnie dobrey służby, a nie dobrego odzienia.” Prezydent zagniewał się i zbył mnie lekkiém skinieniem głowy. Zachodził na-

tenczas spór między naszym, a sąsiednim dworem, o prawo posiadania niektórych dóbr pogranicznych. Dowody zdawały się mówić za stroną nam przeciwną. Przypadkiem wygrzebałem w archiwum służące do tego papiery, na mocy których rzecz powinna była rozstrzygnąć się z korzyścią dla naszego dworu. Napisałem rozprawę w obronie należytości swojego dworu, i wydrukowawszy ją razem z dowodami, przesłałem ministrowi z dedykacyą Królowi. Pomyślny skutek uwieńczył moję pracę. Dano mi order *zasługi*, i jak się poźniey dowiedziałem, miano po mnie wielkie nadzieje. Lecz, na nieszczęście, nie wiedziałem co zrobić z orderem. Odesłałem go napowrót, dodając, że pisałem wcale nie dla nagrody lub zaszczytu; ale jedynie przez miłość sprawiedliwości. Prawdziwie wstydziłem się nosić go, nie mając szczególnieyszey zasługi. Ale tym postępkiem wszystkich oburzyłem na siebie. Móy prezydent powiedział mi wyraźnie, żem głupi, i już o dostaniu mieysca, ani myśleć nie powinienem.

Zdarzyło się to wtenczas właśnie, kiedy móy opiekun, widząc, żem już z małoletności wychodził, powiesił się, dla uniknienia przykrego rachunku, bo wszystko był zmarnotrawił i moje i swoje.

Żałowałem mocno tego człowieka, i gdyby się wprzódy przyznał przede mną, wszystkobym mu darował. Sprzedano pozostałość po nim i mnie za cały móy oycowski i matczyny spadek, dostało się cztery tysiące złotych. Dziesięcioletnią córkę opiekuna chciano oddać do domu sierot. Litowałem się bardzo nad jey stanem. „Ja jestem

w siłach i mogę na chleb zapracować" pomyśliłem sobie: „a ta sierota nizkąd nie ma pomocy." Prosiłem więc, żeby ktokolwiek uczciwy przyjął ją do siebie, i oddawszy móy kapitał w pewne ręce, procenta przeznaczyłem na jey wychowanie, aż póki nie wyydzie za mąż.

Cóż teraz począć? zapytałem potém samego siebie. Państwo nie potrzebowało mojey usługi. Prosiłem o mieysce jedynie, żebym miał okrąg działania odpowiedni moim siłom, nie zaś, żebym mógł zbierać pieniądze. Chciałem bydź użytecznym i dla tego zgadzałem się służyć bezpłatnie; byleby mię tylko odziewano i karmiono. Na takie żądanie w oczach śmiano się ze mnie.

Przedałem wszystko, co miałem, i opuściłem oyczyznę w nadziei, że gdzie indziey lepiey się na mnie poznają. Z czterdziestu luidorami długo mogłem włóczyć się bezczynnie.

Będąc jeszcze małém chłopięciem, czytałem w jakieyś xiążce rozdział pod napisem: *o potrzebach zbytkowych*, gdzie zawierało się bardzo mądre wyłożenie słów ś. Pawła Apostoła: kiedy mamy żywność i odzienie, powinniśmy przestawać na tém. Xiążka ta zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Zacząłem dziwić się, że człowiek tyle potrzeb uczynił nieodbitemi dla siebie, a przez to poddał się pod władzę drugich, stał się ofiarą wszelkich nikczemności i mnóztwa udręczeń przyczynił sobie: bo, im kto mniey ma potrzeb, tym mniey żądań, kłopotów, trosków, bojaźni i cierpień, a ten jest nayswobodnieyszym z ludzi, kto naymniey zależy od okoliczności, własnych zwyczajów i nałogów. Rozdział zamykał się temi

słowy: szukay istoty, a próżność nierozsądnym zostaw.

Będąc dzieckiem natenczas zrobiłem już wstęp do tego. Wypełniałem moję powinność i nie pozwalałem nauczycielóm, żeby mnie chwalili. W nocy sypiałem na stołkach przy mojém łóżku. Nie piłem, ani herbaty, ani kawy, ani wina, ani piwa, tylko wodę. Nie traciłem nawet dziesiątey części pieniędzy, na moje wydatki przeznaczonych: ale kupowałem za nie książki i mappy dla współuczniów ubogich. Wychodząc ze szkół cieszyłem się naybardziey, że w uniwersytecie będę zupełnym panem samego siebie. Żyłem po prostu i uważano mię za biednego; chociaż zbywającemi pieniędzmi wspomagałem innych, a nie jeden bogatszy ode mnie kłopocił się z długami.

Ten prosty sposob życia nie podobał się wielu w mojey oyczyznie. Chciano mię przymusić, żebym jadł lepiey, kiedy ja niekosztownym pokarmem nasycić się mogłem. Suknie moje zawsze były modnie zrobione, ale tanie, i to znaczyło ubierać się nieprzyzwoicie. W takim ubiorze spełniałem moje obowiązki, lecz nie chodziłem kłaniać się naczelnikóm; to nazywano nieumiejętnością życia na świecie. Chciałem mieć wartość rzetelną; usiłowano wymódz na mnie, żebym pozyskiwał wziętość przez odzienie, niepotrzebne wydatki, pochlebstwa i tym podobne środki. Nie paliłem tytuniu, nie zażywałem tabaki, nie grałem w karty, nie miałem mnóstwa zbytkowych potrzeb, i temu się dziwiono. Słowem: ciągle postępowałem według własnego przekonania; przestawałem na małém, przez oszczędność moję wspierałem wielu; byłem zawsze

wesoły: nie chorowałem nigdy: brakowało mi tylko okręgu działania, i tego mi nie dawano, że nie takim byłem, jak wszyscy. Wreście łatwo i na to stałem się obojętnym: bo własne zadowolenie znaydowałem w samym sobie. Biada temu, czyy los zależy od drugich; jeżeli on sam w uszczęśliwianiu innych pociechy nie czuje!

Nauczyciel wieyski.

Zpół roku wałęsałem się po błogosławioney Niemieckiey ziemi, nie mogąc niczego znaleźć dla siebie. Wszędzie brzmiało w moich uszach *ale!*

Smiészna, prawdziwie, mysliłem sobie, że ludzie żadną miarą nie chcą przyjąć człowieka, który niczego od nich nie potrzebuje, oprócz środkow, użycia władz swoich na ich pożytek. Układałem już sobie jechać do Londynu i oświadczyć chęć służenia w podróżach, na zwiedzenie głębi Afryki przedsiębranych, a jeśliby i to chybiło, bez dalszych ogródek swoim kosztem udać się do Senegalu. Nie długo myśląc ruszyłem ku północno zachodniey stronie.

Tymczasem kiedym jednego razu zmordowany, drogą zaszedł do traktyeru małego miasteczka, siedząc przy chudey wieczerzy, złapałem w ręce arkusz gazety. Tu wyczytałem ogłoszenie, że ktoby chciał przyjąć mieysce nauczyciela we wsi Gard, będzie miał pięćdziesiąt złotych na rok, mieszkanie, opał i sześć morgow gruntu.

Właśnie to mieysce jest dla mnie, pomyśliłem sobie. Nauczyciel wieyski! Jakże ważny obowiązek! Czyliż nie mogę oświecić i uszczęśliwić tey wioski, stać się dobroczyńcą tysiąca

biednych, zaniedbanych ludzi? Czyliž nie mogę utorować drogi do ulepszenia gospodarstwa, poprawy obyczajów i tylu innych rzeczy? A zapłata? skąpa wprawdzie, dla mnie jednak dostateczna. Albožto zapłata može wynagrodzić istotne zasługi? Albož wpowszechności państwa mogą wynagrodzić cnoty? Rząd, rozdając płacę podług rozmaitych stopni obowiązkow, sądzi, že przez to stosuje ją do miary usposobienia i pracy, jakich który stopień wymaga, a zatém, že w obowiązku nauczyciela wieyskiego, nauczyciela chłopów! nie wiele trzeba umiéć i pracować. Ale się bardzo w tém myli!

Poszedłem prosić o to mieysce. Przepatrzono moje świadectwa odbywanych nauk, i poczytano mię za studenta zbiegłego przez rozpustę. Musiałem połknąć tę pigułkę. A chociaž przyznano, žem grammatykę umiał, pisał dobrze i śpiéwał nie zle; jednakže panowie examinatorowie wahali się jeszcze. I wcale nié mam im tego za złe: bo istotnie w zwyczaynym biegu rzeczy jest to zjawisko bardzo rzadkie, žeby człowiek, mogący z biédy czytać i mówić sześciu językami, chciał zostać nauczycielem wieyskim. Wątpię nawet, czylibym otrzymał to mieysce, gdyby oprócz mnie i starego głuchego krawca, znalazło się więcey kandydatów. W tym razie moje uszy dały mi stanowczą przewagę.

„Słuchay!" rzekł prezydent prowincyonalny kommissyi szkolney: „otrzymasz to mieysce; ale tylko na rok jeden, póki się nie przekonamy o tobie."

Razem z pozwoleniem tymczasowego spełniania obowiązku, dostałem od prowincyonalney

kommissyi szkolney pismo do P. Pastora, żeby mię na ten urząd wprowadził.

Nie posiadając się z radości natychmiast udałem się do Gardu. Pokazano mi mieszkanie moje. Była to prawie rozwalona chata, zabrudzona gorzey niż staynia, z pozalepianemi oknami, z jedną ciemną i nieopalaną komórką dla mnie. Piec znaydował się tylko w izbie szkolney, gdzie codzień zbierało się około 65 dzieci płci oboyey. Ogródek przy domku zawalony gruzem, i obiecane sześć morgow ziemi zawierały zbiór wszystkich krajowych chwastow i krzewów. Boże móy! ileż to pracy było przede mną!

Pastor przyjął mię z powagą ścisłego wykonywacza obowiązków. Dał wiele napomnień przyzwoitych i pierwszey niedzieli przy osobney przemowie do przyszłych uczniów moich, zalecił mię wszystkim swoim dzieciom duchownym. Zresztą zagorzelec ten, co niedzieli piorunował tylko z ambony przeciw niedowiarkom i zatwardziałym, a w dni powszednie i w powszedniém życiu był człowiekiem bardzo powszednim; mało się troszczył o zbawienie duszy, a mniey jeszcze o dobro owczarni swojey.

Wieśniacy niezmiernie byli rozpuszczeni i ubodzy. Ciągle prowadzili między sobą kłótnie, zatargi i sprawy. Każdy dóm niszczyły długi, swawola, lenistwo i niezgoda. Rolnictwo w naygorszym było stanie. Chów bydła bez ładu. Sam wóyt tylko umiał myśleć o sobie: trzymał traktyer, i kto nie pił u niego, temu nie uchodziło na sucho.

Sama powierzchowność wioski, widok nikczemnych chatek, wewnątrz błotnistych i zatę-

chłych; nieobyczayność mężczyzn i niewiast, na nich łachmany zamiast odzienia, wszystko, mówiło, że to jest mieysce właściwe dla mnie, że tu móy zawód uszczęśliwiania ludzi. Skakałem z radości w swojey izdebce, a cały domek trząsł się od moich podskokow.

Wiedząc, że kassa szkolna bardzo była szczupła, za własne pieniądze kazałem w mojey chacie powstawiać okna i wybielić wszystkie ściany. Wymyłem podłogi, stoły, drzwi i ławy. Kupiłem płótna i zrobiłem sobie siennik do spania. Cały swóy ogród skopałem, i podzieliwszy na grzędy, zasadziłem rozmaite ogrodowiny kuchenne. Trzy dziesięciny ziemi własnemi także rękoma uprawiłem. Kupiona koza, dawała mi mleko i razem z wioskową trzodą pasła się bezpłatnie.

Wkrótce zacząłem znaydować powab w swojém mieszkaniu. Sam pastor nie mieszkał tak czysto, jak ja. Wieśniacy dziwili się mojemu chędogiemu ubóztwu, a ja dziwiłem się ich dostatniey niechluyności.

Początek reformy.

Urządziwszy moje gospodarstwo, oddałem się uczniom zupełnie. Codzień przybiegała do mnie trzoda obrudzonych dzieci. Naprzód więc kazałem, żeby każdy witając się razem z ukłonem podawał mi rękę. Kto przychodził nieumyty, tego natychmiast pędziłem do strumienia, gdzie powinien był umyć ręce, twarz i nogi. Większa ich część przychodziła nieuczesanych, zmusiłem wszystkich do czesania się co ranek. Oni śmieli się ze mnie; ja śmiéch rózgą przepędzałem. Pastora prosiłem, żeby mi pomagał i czasem po-

wiedział cokolwiek o pożytku ochędóztwa. On nie chciał tego uczynić, a ja za pomocą rózgi dokazałem, że głowy czesać zaczęli.

Przyszło z kolei do odzienia. Grozą tu nie podobna było co zrobić. Wszyscy chodzili obszarpani, temu zapobiedz nie mogłem: ale pilnowałem przynaymniey, żeby na żadnym nie było plam i błota. Tym, którzy cały tydzień zachowali się czyściey nad innych, dawałem nagrody. Nakupiłem podczas jarmarku tuzinami igieł, szpilek, nożyczek, scyzorykow i tym podobnych drobnostek, co wszystko rozdawałem ochędożnieyszym. Zpoczątku pastorowi, wóytowi i całey wiosce nie podobały się te wymysły, ale ja upornie trzymałem się swego sposobu postępowania. Naprzód trzeba ludzi ze stanu bydląt wyprowadzić, a potém zacząć ich oświecać. Za pomocą drobnych podarunkow dokazałem wiele: nim rok upłynął, już młodzież wioskowa chodziła czyściey od starych. I starsi zaczęli wstydzić się nawet, kiedy czasem młodzi wytykali ich niechluystwo. Kiedym bywało szedł przez wioskę, dziatwa porzucając swoje zabawy zbiegała się do mnie: każdy kłaniał się i podawał rękę. Wszyscy mnie lubili: bo lękali się mojey laski i podarunkow chcieli. Przy tém, wolnym czasem opowiadałem im zabawne bayki, których bardzo chciwie słuchali.

We wsi zaczęły się mowy o mojey hoyności. W istocie pierwszego roku więcey uczniom rozdałem, niż cała moja płaca wynosiła. Dwóch uboższych półnagich chłopców własnym kosztem przyodziałem. Te postępki, jak mniemali ludzie, nie były bez widoków. Dawniey nauczyciel by-

wał zazwyczay nayuboższym ze wszystkich kątników; a człowiek mający choćby naymnieyszy sposob do życia, zaniczby tego obowiązku nie przyjął. Ja zaś, nie tylko, że nie brałem, jak moi poprzednicy, podarunkow albo jałmużny od dzieci lub ich rodziców, lecz sam rozdawałem więcey, niż wszystkie razem matedory wioskowe. To nikomu nie mogło pomieścić się w głowie. Niektórzy myślili nawet, że jestem zbiegłym zabóycą, złodziejem, albo tym podobnym zbrodniarzem, i z pieniędzmi przebywam tu potajemnie. Nie dziw, że ci ludzie rzadko dobrze czynić, a nawet rzadko myśleć o dobrém, nawykli, prędzey zle, niż dobrze, mogli sądzić o mnie.

Tymczaszem pastor przesłał prowincyonalney komissyi szkolney świadectwo o dobrém postępowaniu mojem, nie zapominając oznaymić także, że mnóztwo podarunkow rozdawałem dzieciom. Ale ponieważ nasze prawa nie tak ściśle dawać, jak kraśdź zabraniają, zostałem więc potwierdzony w moim obowiązku na całe życie.

(*Dokończenie nastąpi.*)

POEZYA.

Wesele Podolskie.

Wyjątek z Poematu pod tytułem, Podole, przez Maurycego *Gosławskiego*, początek 2giey części.

U nas to na Padolu, młode dni porywcze,
Płyną wesoło i słodko !
Gdyby róża każde dziewczę,
Każdy chłopiec, gdyby złotko :
A oważ ta Roxolanka,
Co to całym trzęsła Wschodem:
Była nasza Podolanka,
Z Czemierowiec rodem.

I musiałą zapewne piękną bydź dziewczyną,
Kiedy podbity blaskiem jey lica,
Tron jey oddał, i pił wino
Dumny synowiec Xiężyca.
Zawsze dobra, zawsze skromna,
Zawsze hoża, miła;
Drogich pól oyczystych pomna
Tylekroć wymierzony na nię cios odbiła!

Znają ramię naszych chłopców
Dumne karki Perekopców,
Zna Wołoch i Turki:
Którykolwiek wkroczył,
Nasze pola, nasże wzgórki,
Krwią niewierną zbroczył.

I niemocen do dom wrucić,
W więzach lub mogile gnije.
O! z niemi nié ma czasu długo bałamucić,
Ich miecz nie na żarty bije.

Nie zaznany z miękkim puchem
Każdy wzrastał pod pancerzem,
Każdy ramieniem i duchem,
Nie z nazwiska jest rycerzem.

Konik wrony — wąs w górę — długa w ręku spisa,
Czapka na bakier, przy boku
Szczęka pałasz, kańczuk zwisa,
A grom gore w oku.
Widząc tę postać rubaszną
I w oczy jey spóyrzeć straszno,
A cóż dostać kroku?

Pewno na widok Pohańca
Ich twarze nie zbledną
Idź za Dunay lub do tańca
To im wszystko jedno.
Ale po wojennych gromach
Kiedy wrogów zbiją
Obacz no ich w własnych domach,
Jak bili, tak hulają, kochają i piją!

Krążą stare miodu flaszki,
Brzmią poskocznie Czubaraszki,

A gdy ruszą pary hoże,
Czarka w czarkę szczęknie,
Ha moy miły, słodki Boże!
To aż spóyrzeć pięknie!.

Teraz pora pokoju— jeżeliś ciekawy,
Chodź, to uyrzysz ich zabawy,
Właśnie w naszém siele,
Dzisiay jest wesele.

Pan wóyt wydają córkę. Piękna Panna młoda,
Jey oko gdyby słońce, lice jak pogoda.
Jak topola wyniosła, jak trzcina powiewna;
Ale czemuż w jey oczu łezka stoi rzewna?

A zza łezki twarz młodzieńcza
Takim blaskiem świeci,
Jak majowa młoda tęcza,
Kiedy z nieba deszczyk leci:

Czegożto Zosia płacze? czy rodzinney chatki
Którą rzucić potrzeba, czy oyca, czy matki?

Ach żal i rodzinney chatki,
Żal i oyca, żal i matki,

Ale żal nadewszystko zabaw rówienniczych,
I wieńca różowego i chwilek dziewiczych.

Nie od dzisiay do Zosi Artem się zalecał,
Rok drugi, jak ją kocha, jak wziąć ją obiecał;
Lecz to Turek niechrzczony, to Tatarzyn wściekły,
To tysiączne zawady szczęście ich przewlekły.
Artem walczył, a Zosia tęskniła dwa lata,
Jednak była mu wierną, zastał ją też samę.

A choć przyniosł od bułata,
Na pamiątkę przez twarz szramę,
I rękę zdruzgotaną od tureckiey kuli,
Ona zawsze była stała,
Tém bardziey go pokochała,
Tém tkliwiey i czuley.

Do D. C. wiersz J. R.

Minęło lato, jesień słoty niesie,
Głucho na polu, głucho w ciemnym lesie;

Ledwie niekiedy milczenie przerywa,
Samotney zięby piosnka przenikliwa:
Lecz wróci wiosna, znów rozsypie kwiaty,
Mnie się nie wrócą raz doznane straty,
Czwarty raz zżółkłém liściem wiatr jesienny
Okrył mogiłę, w którey los niezmienny
Zamknął nazawsze przeszłe szczęście moje,
A mnie zostawił srogie niepokoje.
I ty zawiodłeś przyszłości rachuby,
Zniknąłeś prędko, przyjacielu luby!
Coś znał me myśli, troski życia dzielił,
Nie raz pocieszył, czasem rozweselił.
O jakże biednym pielgrzymem jest człowiek!
Od urodzenia do zawarcia powiek.
Niewielki przedział, a dni naszych wątek,
Ileż ma gorzkich dla serca pamiątek!
Łączą wiek młody przyjaźni ogniwa,
Z jednakich chęci siły mu przybywa:
Stawiając wspołem pierwsze na świat kroki,
Za nic ma wiry, przepaści, opoki,
Boleść, niedola, śmierć podjęta razem,
Znośnieyszą bywa, gdy pod jednym głazem,
Spoczywać mamy — Lecz nie tak na świecie:
Marzenia nasze lada wietrzyk zmiecie.
Z przyjaźni chciałem liczyć plon stokrotny:
Mieć radę, pomoc, zostałem samotny.
I cóż mi z tego, że znajomych wielu,
Przyjaźń ma w uściech, widoki na celu;
I cóż mi z tego, że duszą przedayną,
Wiarę przysięgną, knują zdradę tayną:
Czucie, i przyjaźń, i miłość uleci,
Gdy nędza przyydzie i kruszec nie świeci,
Pies pozostanie, choć zawyje z głodu,
Nie rzuci progów, gdzie miał chleb za młodu!
Nie, takich związków serce me nie pragnie,
Gdzie są widoki, nigdy się nie nagnie,
Zdaję monetą, jaką i mnie płacą,
Ja o nich nie dbam, bez żalu mię stracą.
Po tobie tęsknię, prożne miesce twoje,
Choćby bogaczów wspaniałe podwoje
Stały mi zawsze i wszędzie otworem;
Czczość będzie w sercu, nie chcę żyć pozorem.
Nie raz mię z domu posępność wygania,
Nuda, tęsknota do towarzystw skłania.
Szukam przyjaciół, ale wybór trudny
Ten zbyt światowy, ten prosty, ten nudny,

Tamten ma rozum, ale nie ma serca,
Ów grzeczny, miły, lecz przy tém oszczerca:
Ten bayki prawi, szuka sławy w tłumie,
Sprzecza się, uczy, a sam nic nie umie.
Jak ów zwiérz dziki, co przebiegłszy knieje,
Gdy go zdobyczy zawiodły nadzieje,
Zmyka i głębiey kryje się z bojaźni:
Tak ja, com marzył o nowey przyjaźni,
Wracam do pracy, ona mi nagrodą
Smutnego życia jedyną osłodą.
O! niech mi jeszcze choć raz los pozwoli,
Oglądać ciebie, a w szczęśliwey doli,
Potém niech zgonu wybije godzina;
Zawód ukończy, i wieczność zaczyna.

Sonet.

Gdzie dawniey, źrzenicami oświecane twemi,
Kwiaty wschodziły, godne archanielskiey skroni,
Potém rwałem ci bukiet na tey samey błoni,
Pomięszany z piołunem, z wierzby płaczącemi.

Kiedy ją chwast i blekot na zawsze zaciemi,
Zacdź się czysty kwiatek na niey płoni ,
I wtenczas bukiet przyymiy niegodzien twey dłoni,
Lecz zrosł na poświęconey twym pobytem ziemi.

Ach! podobne me serce do owey krainy,
Niegdyś blizkie twych piersi w młodzieńczey ozdobie,
Niosło ci piękne czucia i szlachetne czyny;

Dziś występne, niestety, szle ze swojey winy,
Choć dla drugich w szaloney cierpiało chorobie,
Nie gardź niém! było kiedyś poświęcone tobie.

ob. Świat z 1892 r. Nr. 2 (15. I.)